

JADWIGA KIWERSKA
Poznań

STANY ZJEDNOCZONE W ŚWIECIE ZRÓŻNICOWANYCH POTĘG

Pytania o nowe tendencje i charakter amerykańskiej polityki zagranicznej stawiane były zawsze, ilekroć świat poddawany był silnym turbulencjom i wstrząsom. Wynikało to z faktu, że od czasu II wojny światowej Ameryka odgrywa rolę dominującą na arenie międzynarodowej. Z drugiej strony, także kondycja Stanów Zjednoczonych oraz gotowość Amerykanów do ponoszenia odpowiedzialności za bieg spraw w świecie żywo interesowały społeczność międzynarodową. Przełom pierwszej i drugiej dekady XXI w. był właśnie takim szczególnym momentem dla Stanów Zjednoczonych. Chodziło nie tylko o pogarszającą się sytuację finansową w kraju i na świecie, wpędzającą Amerykę, podobnie jak wiele innych państw w największy od dziesiątków lat kryzys gospodarczy. Także w sensie politycznym lub lepiej geopolitycznym sytuacja była wyjątkowa. Przede wszystkim zdawał się odchodzić w przeszłość porządek, który wyłonił się po zakończeniu zimnej wojny – świat jednobiegunowy, zdominowany i kształtowany w dużej mierze przez *Pax Americana*¹. Taki porządek istniał przez lata dziewięćdziesiąte ubiegłego stulecia, gdy to USA cieszyły się statusem supermocarstwa, łącząc bezprecedensowy potencjał militarny, gospodarczy, technologiczny, kulturowy i polityczny². Można było wówczas odnieść wrażenie, że to Stany Zjednoczone wyznaczają standardy, normy i wartości, kreują sytuację międzynarodową i mają decydujący wpływ na rozwiązywanie głównych konfliktów, pozytywnie też oddziałują na kondycję wspólnoty transatlantyckiej – ważnego czynnika nie tylko bezpieczeństwa europejskiego, ale również globalnej rangi Ameryki. Skłoniło to nawet niektórych analityków do nazwania tego okresu Wiekami Optymizmu (*Age of Optimism*)³.

¹ Formułę jednobiegunowości jako porządku zdominowanego przez USA wykreował prawie dwie dekady temu Charles Krauthammer. On również przewidywał nadejście wielobiegunowości: „Za mniej więcej jedno pokolenie pojawią się państwa dorównujące swoją potęgą Stanom Zjednoczonym i świat będzie w swojej strukturze przypominał epokę sprzed I wojny światowej” (*The Lonely Superpowers*, „Foreign Affairs” 1990).

² Zob. Z. Brzeziński, *Wielka szachownica. Główne cele polityki amerykańskiej*, Warszawa 1998, s. 27-28.

³ Takiego określenia użył G. Rachman w swojej pracy: *Zero-Sum Future: American Power in an Age of Anxiety*, (2010), odnosząc je do lat 1991-2008.

Pod koniec pierwszej dekady XXI w. bezwzględne wyznaczniki potęgi amerykańskiej nadal pozostały znaczące. Pomimo trudnych interwencji w Afganistanie oraz Iraku państwo amerykańskie cały czas powiększało swój potencjał militarny (koszty roczne obecności zbrojnej USA w tych dwóch krajach – 125 mld dol. – stanowiły wówczas mniej niż 1 proc. amerykańskiego PKB). Nakłady budżetowe Ameryki na obronę – ponad 500 mld dol. (nie licząc tych na operacje w Iraku i Afganistanie) – to blisko 50 proc. światowych wydatków zbrojeniowych (więcej niż łączne nakłady kolejnych 14 państw na liście tych, które najwięcej łożyły na obronę)⁴. W rezultacie utrzymywała się dominacja Stanów Zjednoczonych we wszystkich rodzajach wojsk: lądowych, marynarce, siłach powietrznych. Amerykańskie siły zbrojne jako jedyne mogły operować w odległych regionach świata, dysponując odpowiednią logistyką, zaopatrzeniem, środkami transportu.

Silna nadal wydawała się amerykańska baza ekonomiczna oraz technologiczna, i to pomimo już wówczas występujących kłopotów finansowych i gospodarczych Stanów Zjednoczonych – słabego dolara, perturbacji na rynku nieruchomości i zadłużenia hipotecznego Amerykanów, wreszcie wysokiego deficytu budżetowego (w 2008 r. przekroczył on 400 mld dol.). Jednak gospodarka amerykańska była jeszcze najsilniejsza na świecie i najbardziej konkurencyjna. Starczy powiedzieć, że PKB USA osiągnął wartość około 14 bln dol. (PKB Rosji to zaledwie 10 proc. amerykańskiego) i jego wzrost w ciągu 25 lat był większy niż w Europie czy Japonii⁵.

Te wskaźniki nie powinny jednak przesłaniać względnego spadku potęgi USA. Udział Ameryki w światowym imporcie wynosił wówczas zaledwie 15 proc. Wprawdzie jej PKB stanowił jedną czwartą produktu globalnego, ale proporcja ta malała, ponieważ potęgi azjatyckie, w tym przede wszystkim Chiny, rozwijały się znacznie szybciej niż Stany Zjednoczone. Prymat Ameryki podważany był także w innych dziedzinach. Bo chociaż amerykański potencjał militarny wydawał się nie mieć sobie równych, a po 11 września 2001 r. wzrosła liczba amerykańskich baz w świecie (amerykańskie bazy pojawiły się w niektórych byłych republikach radzieckich), to jednak w tym samym okresie USA doświadczyły wojskowych porażek. Nie udało się w pełni spacyfikować, pomimo pięciu lat okupacji, dwudziestoczwemilionowego państwa – Iraku. Wprawdzie strategia realizowana od 2007 r. przez gen. Davida Petraeusa odnosiła sukcesy, to jednak do pełnego powodzenia było jeszcze daleko. Podobnie, a może nawet gorzej, wyglądała sytuacja w Afganistanie. Podważało to tezę o efektywności militarnej Stanów Zjednoczonych, a także *NATO* – filara bezpieczeństwa euratlantyckiego, pod którego flagą realizowano misję wojskową w Afganistanie.

Wszystkiemu temu towarzyszyło osłabienie politycznych wpływów Ameryki w świecie, skłaniające do stawiania tezy o schyłku jej supremacji. Nie ma przesady

⁴ Wg F. Zakaria, *The Future of American Power*, „Foreign Affairs” May/June 2008, No. 3, s. 27.

⁵ Tamże.

w stwierdzeniu, że dyskusja na ten temat opanowała pod koniec pierwszej dekady XXI w. publicystykę, prowadzona też była w gronie czołowych amerykańskich politologów i specjalistów w zakresie stosunków międzynarodowych. Tak jak po zakończeniu zimnej wojny – za czasów George’a H. W. Busha seniora – w Stanach Zjednoczonych podjęto narodową debatę na temat amerykańskiej strategii w nadchodzących latach, tak teraz – u kresu prezydentury George’a W. Busha juniora – zastanawiano się nad zmianą roli i znaczenia Ameryki w świecie, nad wielce prawdopodobnym zmierzchem jej supermocarstwowości. Jedni autorzy analizowali przyczyny tego procesu, jego przejawy i konsekwencje. Inni natomiast polemizowali z tak kategorycznymi wizjami kresu amerykańskiego prymatu.

W dyskusji tej uczestniczyli analitycy, którzy swego czasu prorokowali wyłonienie się porządku zdominowanego przez charakterystyczne dla Ameryki wartości i zasady: demokrację, liberalizm. I tak Francis Fukuyama, odchodząc od swego „końca historii”, pisał wręcz o postamerykańskim świecie, w którym następuje ekspansja krajów azjatyckich, także państw słabych, lecz o rosnącej sile oddziaływania, reprezentujących odmienne od Zachodu normy⁶. Zabierał głos w tej debacie Zbigniew Brzeziński, który już przed laty pisał, że Amerykanie powinni traktować przywództwo swego kraju jako sytuację przejściową. Teraz stawiał tezę, że Stany Zjednoczone roztrwoniły ogromną część swego prestiżu, a administracja Busha katastrofalnie zaszkodziła pozycji Ameryki w świecie. Nie przekreślał jednak szans Stanów Zjednoczonych w przyszłości. Pisał:

„U zarania nowej epoki mocarstwo dominujące nie ma innego wyboru, niż tylko prowadzić politykę zagraniczną, która jest prawdziwie światowa w duchu, treści i wymiarze. Nic nie byłoby gorsze dla Ameryki, a w konsekwencji dla całego świata, niż to, że (...) jej polityka byłaby powszechnie postrzegana jako arogancka i imperialna, (...) przekonana o własnej nieomyślności (...). Oznaczałoby to koniec Ameryki jako supermocarstwa”⁷.

Modny już wówczas politolog Parag Khanna przyczyn tego, że Ameryka traci przywództwo w świecie, dostrzegał zarówno po stronie amerykańskiej, jak i w warunkach zewnętrznych. Jego zdaniem hegemonizm Ameryki wywołał dyplomatyczne i gospodarcze kontrposunięcia, które miały na celu osłabienie amerykańskiej pozycji i budowę alternatywnego porządku światowego – wielobiegunowego. I dalej dowodził, że Ameryka musi raz na zawsze pozbyć się imperialnych pretensji⁸. Z kolei politolog i dyplomata Richard N. Haass, dostrzegając zmierzch dominacji USA, rysował nowy układ, w którym nie ma wielobiegunowości, gdyż

⁶ F. Fukuyama, *Epoka słabych państw*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16.08.2008.

⁷ Z. Brzeziński, *Second Chance. Three Presidents and the Crisis of American Superpower*, New York 2007, s. 215-216 (w j. polskim *Druga szansa. Trzej prezydenci i kryzys amerykańskiego supermocarstwa*, Warszawa 2008).

⁸ P. Khanna, *The Second World: Empires and Influence in the New Global Order* (2008); zob. tegoż, *Pożegnanie z hegemonią*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 17.05.2008.

istnieje tak dużo nowych, alternatywnych ośrodków władzy, że trwać będzie nieustanna walka o wpływy⁹. Podobny w swych sądach był Fareed Zakaria, autor głośnej wówczas książki pt. *The Post-American World*. Przekonywał on, że Ameryka jako mocarstwo upada, a w kształtowanym nowym systemie globalnym do głosu dochodzi coraz więcej państw. Korzystają one z dobrej koniunktury gospodarczej i chcą w większym stopniu uczestniczyć w kreowaniu spraw świata¹⁰.

Na przeciwnym biegunie toczącej się w Stanach Zjednoczonych dyskusji pozostał Robert Kagan, wierny neokonserwatystom i ich wizjom. Dla niego Ameryka była nadal naturalnym liderem obozu demokratycznego, a szerzenie demokracji stanowiło jej najważniejsze zadanie¹¹. Także Joseph S. Nye, uznany amerykański ekspert i publicysta dowodził, że choć amerykańskie działania w polityce zagranicznej spotykają się z powszechną krytyką, to jednak atrakcyjność Ameryki, jej wartości i zasady, kultura i dorobek cywilizacyjny nie uległy deprecjacji¹².

Zarówno z prowadzonej wówczas w Stanach Zjednoczonych debaty ekspertów, jak i kształtowanej realnie sytuacji w świecie płynął jeden zasadniczy wniosek, że zmniejszyła się amerykańska zdolność wpływania na bieg spraw, wywierania presji zarówno na państwa mocne, jak i słabe. Ameryka, choć nadal w liczbach bezwzględnych pozostała państwem potężnym, nie była już postrzegana jako wszechmocne mocarstwo zdolne, albo siłą swej woli, albo przy wsparciu bezprecedensowego potencjału militarnego, ewentualnie naciskając i zmuszając innych zrealizować swe cele. Osłabła amerykańska zdolność kreowania sytuacji międzynarodowej i rozwiązywania problemów. Stanom Zjednoczonym było znacznie trudniej niż poprzednio skrzyknąć innych, narzucić swój punkt widzenia i wspólnie działać na arenie międzynarodowej. Mogło to oznaczać, że tracą one przywództwo, nawet jeśli *de facto* chodziło o przywództwo tylko w świecie Zachodu.

Nietrudno było znaleźć tego przyczyny. Siła Ameryki przez dziesięciolecia brała się m.in. z wyznawanych przez nią wartości i zasad, modelowego rozwoju, trwania przy wolności i demokracji. Czyli dysponowania *soft power* – jak to kiedyś określił J. S. Nye¹³. „Zawsze wierzyłam, że Ameryka jest wyjątkowym krajem, ale

⁹ R. N. Haass, *Świat po Ameryce*. Pierwotnie artykuł ten ukazał się w „Foreign Affairs” (May/June 2008, No. 3) pt. *The Age of Nonpolarity*.

¹⁰ F. Zakaria, *The Post-American World*, New York 2008; zob. tegoż, *The Future of American Power...*

¹¹ R. Kagan, *The Return of History and the End of Dreams* (2008); zob. tegoż art. *Koniec marzeń, powrót historii*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 11.08.2007.

¹² Zob. wywiad z J. S. Nye’em pt. *Bush nie zniszczył Ameryki*, w „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 5.05.2007.

¹³ O „wartościach amerykańskich” – owej *soft power* Ameryki – dostrzegalnych zarówno w jej polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej pisał J. S. Nye w książce: *Bound to Lead: The Changing Nature of American Power*, New York 1990; następnie koncepcję tę rozwinął w pracy: *The Means to Success in World Politics*, New York 2004.

brało się to stąd, że przewodziliśmy w tworzeniu standardów obowiązujących wszystkich, a nie dlatego, że byliśmy wyjątkiem od reguły” – pisała Medelaine Albright¹⁴. Jakkolwiek nie zawsze Amerykanie „świecili przykładem” – wystarczy wspomnieć o kontrowersyjnej wojnie w Wietnamie, czy tak już symbolicznych zjawiskach jak „polowanie na czarownice” w latach 50. XX w., utrzymująca się przez długi czas w południowych stanach Ameryki segregacja rasowa, czy wreszcie afery *Watergate* – to jednak w stwierdzeniu J. S. Nye’a o *soft power*, czyli wartościach atrakcyjnych dla innych narodów, było bardzo wiele racji.

Temu wizerunkowi Ameryki zaszkodziła niewątpliwie polityka prowadzona przez administrację G. W. Busha w odpowiedzi na atak terrorystyczny 11 września 2001 r. na Amerykę. I tu pojawia się wielki paradoks. Bo przecież w imię wyznawanych wartości – demokracji i wolności – Amerykanie atakowali Afganistan w 2001 r. oraz Irak dwa lata później, zresztą sama „doktryna Busha”, określająca amerykańską strategię w walce z terroryzmem, miała na celu promowanie tych zasad¹⁵. Tymczasem nastąpiło, jeśli nie zniszczenie, to na pewno osłabienie amerykańskiej *soft power*. Stany Zjednoczone straciły wiele ze swej moralnej siły, stanowiącej element amerykańskiej tożsamości politycznej i czynnik jej pozycji w świecie. Zaszkodziły im z jednej strony Abu Ghraib i Guantanamo, gdzie nastąpiło pogwałcenie zasad moralnych i humanitarnych, z drugiej zaś – preferowanie opcji militarnej w działaniach na arenie międzynarodowej („doktryna Busha”). Inwazja na Irak, ale też wcześniej na Afganistan były postrzegane przez wielu jako symbole globalnego imperializmu amerykańskiego. W tej sytuacji mówienie o amerykańskim posłannictwie dziejowym, czyli promocji demokracji i wolności stało się dla wielu społeczności i narodów czystą hipokryzją. Hipokryta nie powinien przewodzić, gdyż moralne fundamenty jego przywództwa stają się podejrzone.

Ważnym czynnikiem przywództwa była zdolność budowania koalicji, pozyskiwania sojuszników i partnerów, którzy zbierają się pod jednym sztandarem, w imię wspólnych wartości i dla tych samych celów. Tej zdolności administracji Busha brakowało, ale też preferując unilateralizm i zasadę, że kto nie z nami, ten, przeciwko nam, Stany Zjednoczone, zwłaszcza w okresie pierwszej kadencji prezydentury Busha, zatraciły atrakcyjność jako lider koalicji. Co więcej, wykazywana wówczas arogancja, zbytńia pewność siebie, odrzucenie innych punktów widzenia doprowadziły do prób izolowania Stanów Zjednoczonych na arenie

¹⁴ M. Albright, *Rady dla prezydenta*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16.02.2008.

¹⁵ Założenia „doktryny Busha” znalazły się w: G. W. Bush, *The State of the Union Address*: Washington, The White House, January 2002; *The National Security Strategy of the United States*, Washington, The White House, September 2002. Zob. szerzej: I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution: The Remaking of American’s Foreign Policy*, The Brookings Institution, May 2003, s. 34 i n.; J. Kiwerska, *Neokonserwatywna polityka George’a W. Busha. Założenia, realizacja i skutki*, Zeszyty Instytutu Zachodniego nr 38/2005, s. 38-54.

międzynarodowej, a nawet spowodowały sprzysiężenie się przeciwko aroganckiemu supermocarstwu. Ameryka zyskała niebywałą zdolność budowania politycznych koalicji nie wokół siebie – jak to było w przeszłości – ale przeciwko sobie. Ekipa Busha zmarnowała ten wielki ładunek emocjonalnej solidarności i poparcia, jakimi Ameryka cieszyła się po 11 września 2001 r. Nie stworzyła na tym niczego konstruktywnego i pozytywnego, kształtującego nowy model stosunków na świecie. W efekcie Stany Zjednoczone nie sprawdziły się jako wiarygodny i odpowiedzialny lider.

Dlatego u kresu prezydentury Busha państwo amerykańskie doświadczało bezprecedensowej niechęci, sprzeciwu, nieufności, a nawet nienawiści. Te negatywne uczucia należało tłumaczyć nie tylko efektami złej polityki Busha. Była to również reakcja na amerykańskie bogactwo i potęgę, która nie tylko u wrogów wzbudzała zawiść i zazdrość, potęgując kompleksy. Antyamerykanizm stał się zjawiskiem niemal powszechnym i niemalże *main streamem* wśród różnych społeczności, utrudniającym w wielu wypadkach budowanie przyjaznych i bliskich stosunków z Waszyngtonem. Niektórzy przywódcy europejscy, i nie tylko oni, odczuli boleśnie w wewnętrznych rozgrywkach politycznych, że sprzyjanie Ameryce i bliskie kontakty z prezydentem Bushem mogą osłabić ich pozycję w kraju, a nawet pogrzebać szanse wyborcze. Innymi słowy proamerykanizm nie popłacał, natomiast antyamerykanizm stał się swoistą modą i atutem politycznym. Czy nawet największa potęga może odgrywać rolę globalnego przywódcy, gdy wywołuje tyle złych emocji, nawet jeśli nie są one do końca uzasadnione i przez nią zawinione? Pytanie wydawało się retoryczne. Najgorsze, że odnosiło się ono także do przywództwa w układzie transatlantyckim, stanowiącym ważny czynnik globalnej pozycji Stanów Zjednoczonych.

Z kolei niepowodzenia w Iraku pokazały słabość największej potęgi militarnej świata. Wprawdzie Ameryka poniosła już kiedyś klęskę, i to niezwykle spektakularną – w Wietnamie. Ale wówczas sytuacja była inna – czas zimnej wojny i utrzymujące się poczucie zagrożenia radzieckiego. To niejako automatycznie i trwale czyniło ze Stanów Zjednoczonych patrona i obrońcę świata zachodniego. I tego statusu, dla dobrze pojętego własnego interesu, nikt z państw Zachodu nie podważał. Wietnam był jedynie porażką, czyniącą większe spustoszenia w myśleniu i postawach Amerykanów, niż u sojuszników zagranicznych, a zwłaszcza wśród przywódców państw zachodnioeuropejskich. Teraz świat wyglądał inaczej, i poczucie, że amerykański kolos nie jest już tak silny, napawało pewną satysfakcją, ale i wzmacniało wolę zdyskontowania tego faktu. Inne mniejsze potęgi, różne państwa dobijające się większego udziału w decydowaniu o porządku spraw w świecie lub pragnące zademonstrować swe nowe możliwości otrzymały ważny sygnał: Ameryka nie jest już tak potężna, jak myśleliśmy.

Skłoniło to nawet niektórych obserwatorów do zastosowania analogii między wojną iracką a wojną burską z przełomu XIX i XX w., która chociaż zwycięska dla

Zjednoczonego Królestwa i prowadzona gdzieś na jego peryferiach, wpłynęła na losy Imperium Brytyjskiego¹⁶. Trudno już dziś przesądzić, czy ta analogia, jeśli chodzi o konsekwencje, była słuszna. Jedno jest natomiast pewne, że Irak, a także Afganistan, obnażając słabości militarne i polityczne Stanów Zjednoczonych podważyły ich prymat. Ameryka utraciła atut, który mógł decydować o jej roli jako żandarma w pozimnowojennym świecie – gotowego rozwiązywać konflikty, skutecznie działać w wypadku zagrożenia, zdecydowanie reagować na wrogie posunięcia. Nie może być żandarmem ktoś, kto nie potrafi siłą lub perswazją wyegzekwować swojej władzy, choćby w dwudziestomilionowym państwie nad Tygrysem i Eufratem. Ameryka – w dość powszechnym przekonaniu – zawiodła jako skuteczny, kompetentny i budzący zaufanie strateg.

Także konflikt gruzińsko-rosyjski z sierpnia 2008 r., żeby sięgnąć do kolejnego przykładu, obnażył niemoc Stanów Zjednoczonych, które nie miały na tyle silnych instrumentów, aby wymusić na Rosji cokolwiek. Sama perswazja i nacisk osłabionego supermocarstwa nie na wiele się zdały. Zaś zastosowanie argumentu siły nie wchodziło w grę. Ową niemoc dyplomacji amerykańskiej, pozbawienie jej mocnych narzędzi nacisku – gospodarczych, militarnych, a nawet politycznych, odnieść można było także do innych regionów świata i różnych konfliktów: Bliski Wschód, kwestia nuklearyzacji Iranu i Korei Płn., fundamentalizm islamski i terroryzm międzynarodowy. Wobec wszystkich tych zagrożeń i wyzwań Stany Zjednoczone albo wykazywały nieskuteczność, bezsilność i brak wiarygodności, albo do ich podjęcia potrzebowały wsparcia innych państw i sił. Waszyngton nie miał już decydującego głosu w rozstrzyganiu problemów i sporów w świecie, znalazł się niemalże w defensywie, a ofensywę geopolityczną przejmowały inne mocarstwa regionalne, takie jak Rosja czy Chiny, a nawet Unia Europejska¹⁷.

Działo się tak również dlatego, że Ameryka wprawdzie wciąż była potęgą, ale funkcjonowała w świecie, w którym pojawiło się bardzo wielu innych aktywnych graczy. Układ jednobiegunowy przechodził zatem w nową konstrukcję geopolityczną. Jest kwestią dyskusji, w jakiej mierze same Stany Zjednoczone swymi działaniami i faktem, że zatraciły atrybuty lidera i światowego policjanta, przyczyniły się do zmiany porządku rzeczy. Pojawiały się bowiem głosy, że to już Bill Clinton nie wykorzystał układu jednobiegunowego i dlatego „pozimnowojennej dywidendy pokojowej nie udało się przekuć na globalny porządek liberalny pod kierunkiem Ameryki”¹⁸. Niestety komentatorzy nie precyzowali, co należało uczynić, aby tę „fantastyczną szansę, jaką miały Stany Zjednoczone po zakończeniu zimnej wojny”, zdyskontować dla budowy trwale zdominowanego przez USA porządku międzynarodowego¹⁹. Przecież ekipa Busha wykazała, że siłą nie uda się

¹⁶ Zob. W. Mitchell, *Ameryka słabnie, Rosja w ofensywie*, „Gazeta Wyborcza” 30-31.08.2008; także F. Zakaria, *The Future of...*, s. 20-22.

¹⁷ Zob. W. Mitchell, *Ameryka słabnie...*

¹⁸ P. Khanna, *Pożegnanie z hegemonią...*

¹⁹ Z. Brzeziński, *Tarcza tak, ale nie taka*, „Polityka” 7.06.2008.

tego uniwersalnego ładu liberalnego pod przewodnictwem Ameryki zbudować, zaś Clinton w różny sposób starał się misję promowania demokracji realizować. Wszak przyjęcie trzech państw z Europy Środkowo-Wschodniej, dawnych satelitów Związku Radzieckiego, do *NATO* temu między innymi celowi służyło – właśnie poszerzeniu i umocnieniu obszaru demokracji i wolności.

Nie wnikając zatem w słuszność tych zarzutów, należało przyznać, że już u progu drugiej dekady XXI w. Stany Zjednoczone, chcąc nie chcąc, musiały konkurować na geopolitycznym rynku z innymi potęgami, a także grupami politycznymi o różnym obliczu. I to pomimo tego, że nadal Ameryka jako jedyna dysponowała wszystkimi naraz atrybutami supermocarstwowości: ekonomicznymi, militarnymi, technologicznymi i politycznymi. Pozostałe mocarstwa posiadały zróżnicowane i często pojedyncze atuty, ale powodowały one, że na określonym polu miały te państwa coraz więcej do powiedzenia. W świecie skomplikowanych powiązań i uzależnień, zwłaszcza gospodarczych były w stanie silniej niż kiedykolwiek wcześniej blokować, hamować, a nawet torpedować działania Waszyngtonu. Mogły też sprzymierzyć się przeciwko Ameryce. Jedni tę nową konstelację geopolityczną nazywali układem wielobiegunowym lub powrotem do stanu rywalizacji mocarstw, inni mówili o świecie bez biegunów, dla innych zaś wkroczyliśmy w czas chaosu lub znaleźliśmy się w okresie przejściowym.

W każdym razie jednym z najważniejszych zjawisk pierwszej dekady XXI w. było pojawienie się nowych potęg, których pozycję w dużym stopniu określał zwiększony potencjał gospodarczy. To czynniki ekonomiczne spowodowały, że w okresie tym nagle znaczenia nabrały nowe państwa i regiony. Na niespotykaną skalę gospodarka rozwijała się w Chinach, Indiach, Azji Południowo-Wschodniej, ale też Rosji, niektórych krajach Afryki, Ameryki Łacińskiej, *last but not least* zwiększała swój potencjał Unia Europejska. Według prognoz Banku Światowego z 2008 r. Chiny i Indie w ciągu kolejnych kilkunastu lat miały potroić swój dochód narodowy. Zresztą przeobrażenia w tych państwach i obszarach to temat sam dla siebie. Warto tylko zauważyć, że ich rozwój gospodarczy to jeszcze nie wszystko. Towarzyszyła temu bowiem wielka ambicja i zwiększające się możliwości w zakresie działań politycznych. „Wszystkie te kraje postrzegają siebie już nie jako pionki przesuwane na geopolitycznej szachownicy, pionki używane w cudzej grze, ale jako pełnoprawnych uczestników globalnych działań” – twierdził F. Zakaria²⁰. Zaś Z. Brzeziński dodawał: „Jesteśmy świadkami bezprecedensowego przebudzenia świadomości świata. Po raz pierwszy w historii prawie cała ludzkość jest politycznie świadoma”²¹.

Wprawdzie nie wszystkie kraje chciały wówczas z tej rosnącej pozycji korzystać w równie dużym stopniu i w podobnym charakterze. Zdawało się, że Chiny

²⁰ Cyt. słowa pochodzą z wywiadu z Fareedem Zakarią: *Pax Americana się skończyła*, „Dziennik” 19-20.07.2008.

²¹ Wywiad ze Z. Brzezińskim, *Tarcza tak, ale nie taka...*

wprawdzie chcą większej władzy, prestiżu i uznania w świecie, ale pragną to osiągnąć poprzez włączenie się do systemu międzynarodowego, a nie przez jego obalenie czy przekształcanie. „Ich ambicje miarkuje pragmatyzm i wola, aby nie wzbudzać w reszcie świata poczucia zagrożenia” – pisał w 2007 r. R. Kagan²². Liczyły także na pełną akceptację ich wewnętrznego porządku rzeczy – autokratycznego i niedemokratycznego, a nawet opresyjnego, choćby w odniesieniu do Tybetu.

Już wówczas można było się przekonać, że różnym problemom i wyzwaniom w świecie nie podoła się bez zaangażowania Pekinu, który coraz wyraźniej oddziaływał na bieg spraw. Chodziło nie tylko o ewentualne zablokowanie północnokoreańskiego programu nuklearnego, ale o kwestię Darfuru. To właśnie ChRL, dostarczając broń jednej ze stron konfliktu, skutecznie sabotowała międzynarodowe wysiłki, mające na celu zakończenie wojny w tym zakątku Afryki. Zaś Stany Zjednoczone zdawały się być bezradne wobec działań Chin. Trudno bowiem było podejmować rzeczywisty spór z państwem, z którym ma się rozległe interesy gospodarcze, co było efektem zarówno globalizacji, jak i imponującego rozwoju Chin. Do symbolu bezradności dyplomacji ekipy Busha urósł zatem gest amerykańskich sportowców, którzy w sierpniu 2008 r. honorem niesienia flagi narodowej podczas uroczystości otwarcia Igrzysk Olimpijskich w Pekinie obdarzyli Lopeza Lomonga, obywatela USA, ale pochodzącego z Darfuru.

Jednak to przede wszystkim Rosja była krajem, który pomimo „smuty” politycznej i załamania gospodarczego, towarzyszących rozpadowi Związku Radzieckiego, nigdy nie stracił zapału, aby odzyskać swą mocarstwową pozycję, choćby w ograniczonym zakresie. Pierwsza dekada XXI w. sprzyjała tym celom. Wzrost cen ropy naftowej napędził gospodarkę rosyjską, a brak sensownej polityki energetycznej Zachodu, w czym winę ponosili również Amerykanie (zabrakło planu ograniczenia zużycia ropy i znalezienia alternatywnych źródeł energii), uzależnił wiele państw od dostaw z Rosji. Rządy Władimira Putina, przywódcy zdeterminowanego, skutecznego i bezwzględnego, który silną ręką opanował chaos z lat 90. i przywrócił Rosjanom optymizm oraz poczucie dumy, spowodowały, że Rosja po dziesięciu latach nie przypominała już tej, z którą świat miał do czynienia pod koniec ubiegłego stulecia. W 1999 r. jej produkt narodowy brutto wynosił 200 mld dol., a w 2008 r. sięgał już 2 bln dol. Równie szybko rósł budżet wojskowy Rosji. W 1999 r. na cele wojskowe przeznaczano około 3 mld dol., w 2008 r. było to już ponad 40 mld dol. Wprawdzie były to nakłady znacznie odbiegające od wysokości środków, jakimi dysponował wtedy budżet amerykański (ponad 500 mld dol.), ale samo tempo wzrostu nakładów na obronność w Rosji było imponujące.

Tak więc kraj ten zyskał nową twarz i nowe, większe możliwości gospodarcze oraz polityczne. Zamierzał z tego korzystać, burząc nawet ustalone zasady i normy postępowania, uciekając się do znanych z przeszłości metod działania: faktów

²² R. Kagan, *Koniec marzeń, powrót historii...*

dokonanych, szantażu energetycznego, egzekwowania siłą swych racji, odzyskiwania strefy wpływów, czyli prowadzenia polityki imperialnej. Rosja pragnęła być nie tyle partnerem co rywalem i konkurentem na arenie światowej i w ten sposób ponownie wyznaczyć drugi biegun porządku światowego lub przyczynić się do jego wielobiegowości. Gdy kilkanaście lat temu Putin mówił, że rozpad Związku Radzieckiego był największą katastrofą geopolityczną XX w., dla wielu komentatorów stanowiło to tylko wyraz pewnej nostalgii za nieistniejącym państwem. Po latach okazało się, że za tą retoryką stały wyraźne cele – odzyskanie utraconej pozycji i roli na arenie międzynarodowej, a nawet przywrócenie takiego porządku geopolitycznego, który byłby korzystny dla Moskwy. „Rosji nie chodzi o ten czy inny system raketowy, lecz o międzynarodowy układ pozimnowojenny, który jej się nie podoba i który chciałaby zmienić” – powiadał R. Kagan²³.

Najlepszym odzwierciedleniem tych nowych/starych tendencji działania Rosji był jej atak na Gruzję 8 sierpnia 2008 r. Nie wnikając w kwestię odpowiedzialności za konflikt gruziński, a także nie podejmując problemu jego dalszych konsekwencji dla zaangażowanych stron, to niewątpliwie reakcja Kremla – uderzenie zbrojne na suwerenne, demokratyczne państwo, niszczenie jego infrastruktury wojskowej i cywilnej, użycie siły militarnej wobec ludności cywilnej – odsłoniło groźne i bezwzględne oblicze tego państwa. Jest to „odrodzenie się Rosji jako dziewiętnastowiecznego mocarstwa rzucającego wyzwanie pozimnowojennemu łaadowi” – pisał wówczas w doskonałej analizie Iwan Krastew. Jego zdaniem w ten sposób Moskwa powróciła do centrum europejskiej oraz światowej sceny politycznej, i bynajmniej nie jako przedmiot polityki²⁴.

Niewątpliwie rosyjska polityka zagraniczna „po Gruzji” bardziej kojarzyła się z XIX w. Oparta była na typowo rosyjskim połączeniu narodowych frustracji, ambicji i siły. Dlatego wojna w Gruzji cieszyła się tak dużym poparciem rosyjskiej opinii publicznej. Dla Rosjan zwycięskie starcie z Tbilisi oznaczało bowiem koniec pozimnowojennych upokorzeń, powrót w koleiny najlepszej – z ich punktu widzenia – mocarstwowej polityki. I z tych powodów też tak trudno było znaleźć kompromis z Rosją ery Władimira Putina/Dmitrija Miedwediewa. Nie uznawała ona ograniczeń i hamulców, które zgodnie z obowiązującymi standardami chciałyby Moskwie w relacjach z jej najbliższym otoczeniem narzucić Zachód. Utrudniało to z całą pewnością działania nie tylko Waszyngtonu, ale również państw europejskich, osłabiało skuteczność podejmowanych przez nie inicjatyw, choćby w kwestii Gruzji. Obnażyła tym samym dość dużą bezradność amerykańskiej dyplomacji.

W jakimś stopniu powrót Rosji i nie tylko jej do roli aktywnego i silnego gracza na scenie międzynarodowej było też konsekwencją osłabienia pozycji i prestiżu Stanów Zjednoczonych. „Z powodu swoich posunięć i zaniedbań USA przyspieszyły proces powstawania alternatywnych ośrodków władzy i osłabiły własną

²³ Tamże.

²⁴ I. Krastew, *Polityka mocarstwowa spółka zo.o.*, „Gazeta Wyborcza” 23-24.08.2008.

pozycję wobec nich” – pisał R. N. Haass²⁵. Z kolei zdaniem F. Zakarii chodziło nie tylko „o schyłek Ameryki, tylko o wzrost znaczenia całej reszty”²⁶. Bo oprócz czołowych mocarstw pojawiło się wiele potęg regionalnych, w różny sposób kształtujących sytuację międzynarodową.

Taką potęgą stał się Iran. Korzystając ze wzrostu cen ropy naftowej państwo ajatollahów uzyskało atrybuty mocarstwa regionalnego, które nie tylko odmawiało podporządkowania się decyzjom wspólnoty międzynarodowej, odnoszącym się do jej programu nuklearnego, ale miało wpływ na sytuację w Iraku, Libanie, Syrii, na terytoriach palestyńskich w Izraelu. Charakter tego państwa, antyzachodnia i wroga wobec Izraela retoryka jego przywódców oraz prowadzona polityka stanowiły zarówno zagrożenie dla amerykańskich interesów w tym regionie, jak i ograniczenie dla polityki Waszyngtonu.

W Ameryce Łacińskiej zaczęła się liczyć Brazylia, być może Argentyna, Chile, Wenezuela. Problem z tym regionem świata polegał na tym, że Stany Zjednoczone, skoncentrowane na walce z terroryzmem, zaniedbały swych południowych sąsiadów. Nie potrafiły reagować w odpowiedni sposób na groźne tendencje. Tymczasem Ameryka Łacińska stała się nie tylko lewicująca, ale skrajnie antyamerykańska. Ton nadawali rewolucyjni i populistyczni przywódcy, dla których wzorem był Fidel Castro, a nieformalnym liderem Hugo Chávez. Atutem prezydenta Wenezueli stała się drożęjąca ropa naftowa. Zyski z eksportu służyły wspieraniu innych antyamerykańskich reżimów w Ameryce Łacińskiej. W ten sposób prezydent Wenezueli przejął rolę, którą poprzednio, w ramach, czy to doktryny Monroe’a, czy polityki dobrosąsiedzkiej, pełniły w tym regionie świata Stany Zjednoczone.

Wenezuela była kolejnym państwem zbijającym ogromny kapitał, także polityczny dzięki rosnącym cenom ropy naftowej. To wzrost popytu na ten surowiec spowodował w ciągu niecałej pierwszej dekady XXI w. podniesienie jego ceny z 20 do grubo ponad 100 dol. za baryłkę. Był to efekt nie tylko skomplikowanej sytuacji w Iraku, ważnego eksportera ropy naftowej, ale również, a może przede wszystkim, wzrostu zużycia ropy w świecie, zwłaszcza w przeżywających gospodarczy boom Chinach, Indiach, ale też Stanach Zjednoczonych. Brak amerykańskiej polityki energetycznej – zdaniem ekspertów – spowodował zachwianie porządku politycznego w świecie. Bowiem producenci ropy i gazu, dzięki gigantycznym wpływom ze sprzedaży tych surowców, dołączyli do geopolitycznych potęg²⁷.

Równocześnie sytuację komplikowały państwa słabe. Wprawdzie trudno się zgodzić z tezą F. Fukuyamy, wedle której „dzisiejszy świat międzynarodowy tym się wyróżnia, że nie dominują w nim silne państwa, lecz te słabe i czasami chylące się ku upadkowi”²⁸. Jednak niewątpliwie w obliczu słabości rządów, kiepsko

²⁵ R. N. Haass, *Świat po Ameryce*, „Europa”, dodatek do „Dziennika” 31.05.2008; zob. też F. Zakaria, *The Future of...*, s. 21-22.

²⁶ F. Zakaria, *The Post-American...*, s. 48.

²⁷ R. N. Haass, *Świat po Ameryce...*

²⁸ F. Fukuyama, *Epoka słabych państw*, „Europa”, dodatek do „Dziennika” 16.08.2008.

funkcjonujących struktur państwowych realną władzę zaczęły przejmować tam rozmaite, pozostające poza kontrolą państwową organizacje o charakterze radykalnym, jak np. *Hezbollah* w Libanie, *Hamas* w Palestynie, talibowie odzyskujący swe wpływy w Afganistanie. Niekiedy państwa te stawały się łupem różnych przestępczych karteli, sił terrorystycznych i skrajnie religijnych grup. Stosowanie w świecie słabych państw siły militarnej, która stanowi ważny atrybut Stanów Zjednoczonych, okazywało się najczęściej nieskuteczne. „Nie można używać twardej siły do tworzenia legalnych instytucji państwowych, do konsolidacji polityki” – twierdził Fukuyama. I podawał przykład: Stany Zjednoczone przeznaczają na swe siły zbrojne ogromne sumy, nieporównywalne z żadnym innym państwem. A jednak sytuacji w Iraku, mimo pięciu lat usilnych i kosztownych starań, nie udało im się ustabilizować²⁹. W jakiś więc sposób ten właśnie świat państw słabych ograniczał potęgę Ameryki.

W tym nie do końca jeszcze wykrystalizowanym świecie zróżnicowanych potęg nową pozycję zajęła Europa – drugi człon układu transatlantyckiego. Bezpośrednim spadkiem po „erze Busha” było bowiem z jednej strony spustoszenie w relacjach euroatlantyckich, z drugiej zaś dyskutowanie przez Europę słabnącej pozycji Stanów Zjednoczonych. Różne państwa europejskie poczuły, że mogą okazać Ameryce niesubordynację i nie będzie to już dla nich stanowiło problemu. Stolice europejskie zyskały wyjątkowy komfort w silnym artykułowaniu własnych poglądów, formułowaniu krytycznych wobec polityki amerykańskiej sądów, zajmowania nawet konfrontacyjnej postawy w stosunku do Waszyngtonu. Rzecz jasna nie dotyczyło to wszystkich państw europejskich, zróżnicowanie takie występowało wśród samych członków Unii Europejskiej. Jednak front antyamerykański zyskał dużą siłę przyciągania dla różnych, dotychczas nawet odległych, jeśli idzie o interesy polityczne, krajów. „Inne państwa mobilizują się przeciw Stanom Zjednoczonym” – ostrzegał Fukuyama³⁰. Natomiast Ameryka – przynajmniej przez pewien czas – stała się partnerem mniej pożądanym, wręcz niewygodnym.

Problemem był również mocno nadwreżony wizerunek Ameryki wśród Europejczyków. Prezydent Bush stał się jednym z najmniej lubianych przywódców politycznych w Europie. Chodziło nie tylko o nieakceptowane przez część polityków i europejską opinię publiczną założenia „doktryny Busha”, ale też było powodowane stosunkiem do samego republikańskiego prezydenta, jego sposobu myślenia, postępowania i osobowości. Konserwatyzm, manichejskie podejście do problemów, niezbyt skomplikowany ogląd świata, wreszcie dostrzegalna gołym okiem nieudolność jego administracji i popełnione błędy – wszystko to potęgowało niechęć do Busha. Przekładało się też na spadek sympatii do Stanów Zjednoczonych i ich polityki, utożsamianej z dążeniami hegemonistycznymi i niemalże awanturnictwem politycznym. Potwierdzały to badania sondażowe prowadzone wśród społeczeń-

²⁹ Tamże.

³⁰ F. Fukuyama, *Epoka słabych...*

ności różnych krajów europejskich. Wynikało z nich, że Ameryka pod koniec urzędowania Busha cieszyła się sympatią średnio na poziomie dużo poniżej 50 proc.

Ten niechętny stosunek do administracji Busha w jakimś stopniu był efektem utrzymującego się od wielu lat, zwłaszcza wśród elity intelektualnej Europy Zachodniej, antyamerykanizmu. Było to uczucie budowane na ogólnej niechęci do Amerykanów jako nuworyszy, ignorantów, wykazujących tendencje do zachowań aroganckich, a ich liderów do działań imperialnych. Wiele w tym było także skrywanych kompleksów wobec mocarstwa, które przed półwieczem odebrało Europie przywództwo na arenie międzynarodowej, a wielce wysublimowanej kulturze europejskiej jej prymat w świecie. Cóż, osiem lat rządów Busha, z ich specyficznym stylem i kontrowersyjnym charakterem, wzmocniły tylko te antyamerykańskie nastroje. Z pewnością więc G. W. Bush nie mógłby w przeciwieństwie do B. Clintona finalizować swej obecności w Białym Domu zaszczytnym tytułem „Europejczyka” i prestiżową nagrodą Karola Wielkiego wręczaną corocznie przez kanclerza Niemiec w Akwizgranie. Antyamerykanizm wyrażany przez znaczną część opinii publicznej i elitę intelektualną w Europie Zachodniej, ale też rosnąca niechęć do Stanów Zjednoczonych nawet w państwach Europy Środkowo-Wschodniej, które dotychczas uchodziły za zdecydowanie proamerykańskie, jak choćby w Polsce, to były fakty bezsporne, osłabiające rangę i pozycję Stanów Zjednoczonych. W jakiś sposób wpływające także na kondycję stosunków między Ameryką a Europą.

Jednak zjawiskiem, które najsilniej przesądziło o nowym wymiarze relacji transatlantyckich, było rosnące poczucie niezależności Europy. Po okresie przeobrażeń pozimnowojennych i kształtowania się nowego ładu europejskiego Stary Świat znalazł się w sytuacji, w której bliskie więzi ze Stanami Zjednoczonymi były bardziej efektem świadomego wyboru niż konieczności. A to pozwalało stawiać warunki i zajmować pozycję zdecydowanie autonomiczną wobec amerykańskiego supermocarstwa, umożliwiało zerwanie z etykietką posłusznego partnera, czasami wręcz wasala. Zwłaszcza że to do niedawna niekwestionowane supermocarstwo znalazło się w dość trudnym położeniu: osłabiona ranga w świecie, nadwerżony wizerunek, niemożność podołania wielu wyzwaniom „na własną rękę”. Efekt był taki, że administracja Busha nawet na forum *NATO* nie była w stanie przeforsować swoich racji. Najlepszym przykładem był Afganistan. Bo choć realizowano tam wspólną misję *NATO* i europejscy członkowie Sojuszu zwiększyli swoje kontyngenty, jednak nie satysfakcjonowało to Waszyngtonu, którego oczekiwania co do skali tego zaangażowania były znacznie większe.

Na rosnące poczucie niezależności Europy wpływ miał również postępujący proces integracji europejskiej. Nie było bowiem tajemnicą, że coraz większym wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych stała się Unia Europejska, której PKB w pierwszej dekadzie obecnego stulecia osiągnął poziom wyższy od amerykańskiego. Gospodarczy aspekt problemu stanowi temat sam dla siebie i nie jest przedmiotem niniejszych rozważań. Można zatem ograniczyć się do stwierdzenia,

że spory gospodarcze na linii USA – Unia Europejska, świadczące bardziej o narastającej atmosferze konkurencji i rywalizacji niż woli współpracy, na pewno nie poprawiały wzajemnych stosunków. Z drugiej jednak strony, zarówno UE, jak i Stany Zjednoczone stanowiły elementy tego samego zachodniego systemu norm i zasad gospodarki wolnorynkowej, uczestniczyły w procesie globalizacji i bez ich współdziałania trudno byłoby rozwiązać główne problemy ekonomiczne świata. Świadomość tego faktu była coraz bardziej widoczna po obu stronach Atlantyku, szczególnie w kontekście narastającego pod koniec pierwszej dekady XXI w. kryzysu finansowego i gospodarczego.

Pozostaje jednak do rozważenia polityczny aspekt relacji między Stanami Zjednoczonymi a tym wyjątkowym w dziejach naszego kontynentu tworem, jakim stała się Unia Europejska. Mówiąc najprościej, wpływy polityczne UE wzrastały kosztem Ameryki. Zresztą zarówno brukselscy technokraci, jak i przywódcy głównych państw członkowskich Unii Europejskiej starali się uczynić z niej, czy to czynnik równowagi, czy to globalnego pośrednika między Stanami Zjednoczonymi a resztą świata. Zwłaszcza z tą jego częścią, która była z Ameryką mocno skonfliktowana. To trzy główne państwa Unii – Niemcy, Francja i Wielka Brytania prowadziły negocjacje z Iranem w sprawie jego programu nuklearnego. Choć rozmowy te nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, to jednak tworzyły z tej europejskiej „trojki” ważny czynnik ewentualnego zastopowania irańskiego projektu nuklearnego.

Podczas gdy Stany Zjednoczone nieudolnie próbowały opanować sytuację w Iraku, to Europa angażowała środki finansowe i kapitał polityczny, aby wciągnąć mniej i bardziej peryferyjne państwa w orbitę swoich wpływów. „Wiele biednych regionów świata uświadomiło sobie, że chcą europejskiego, a nie amerykańskiego marzenia” – pisał z pewną dozą przesady P. Khanna³¹. Chodziło o to, że w świecie XXI w. znacznie ważniejsze w procesie zdobywania wpływów okazywały się narzędzia „miękkiej siły” – w tym zwłaszcza oddziaływanie ekonomiczne, ale też kulturowe. Natomiast era Busha kojarzyła się wielu przede wszystkim z dominacją czynnika militarnego, co przypominało raczej czasy zimnej wojny, a także utratą przez Stany Zjednoczone atrybutów *soft power*, co już było całkowicie sprzeczne z amerykańską tradycją.

Na tym zyskiwała Unia Europejska. Jako struktura zintegrowana przede wszystkim gospodarczo sama sobą tworzyła pewien wzorcowy model rozwoju, ale też służyła pomocą i wsparciem. „Europa bardziej przypomina Merkurego – chodzi z wypchanym portfelem” – twierdził Khanna, nawiązując do słynnej tezy Kagana o Europie z Wenus i Ameryce z Marsa³². Rzeczywiście rynek unijny stawał się największy na świecie, europejskie technologie w coraz większym stopniu wyznaczały standardy, a kraje UE należały do największych dawców pomocy

³¹ P. Khanna, *Pożegnanie z hegemonią...*

³² Tamże.

rozwojowej. „Europa ma do zaoferowania światu doświadczenia i umiejętności, jakich nasza planeta w obecnych opałach potrzebuje bardziej niż czegokolwiek innego” – dodawał Zygmunt Bauman, mając na myśli wypracowaną przez Europejczyków, po dramatycznych doświadczeniach przeszłości, umiejętność korzystnego współżycia pokojowego, i to pomimo dzielących ich różnic i uprzedzeń³³.

Wszystko to procentowało w formie większych politycznych wpływów Unii, która stawiała się partnerem bardziej pożądanym, bo mniej kontrowersyjnym i aroganckim niż Ameryka. Była niemal zupełnie pozbawiona skłonności do działania jak hegemon. Myśl tę rozwijał Kagan: „Europa chce roli światowego autorytetu moralnego oraz wpływów politycznych i ekonomicznych (jako antidotum na militarizm)”³⁴. Wyznaczała więc kolejny biegun nowego międzynarodowego układu. Bo zdaniem niektórych specjalistów tworzył się porządek, w którym główną rolę będzie odgrywała, obok USA i Chin, także Unia Europejska. Ta nowa Wielka Trójka dyktowała reguły i wzorce, a innym państwom pozostawało tylko wybrać sobie partnerów w tym kształtującym się świecie. Intensywnie walczyła o wpływy, o to, kto kogo do siebie przyciągnie. Utrudniało to relacje w ramach tego trójkąta. Miało to znaczenie szczególnie w odniesieniu do układu Ameryka – Unia Europejska, bo oba jego człony należały przecież do tego samego zachodniego świata wartości i zasad, a coraz wyraźniej zaczęła ich dzielić sfera interesów i celów, rywalizacja o wpływy i możliwości oddziaływania³⁵.

Nadal otwartą kwestią pozostała skuteczność działania politycznego Unii Europejskiej na arenie międzynarodowej. Czy UE stała się już wystarczająco zwartą i silną instytucją w zakresie bezpieczeństwa i polityki zagranicznej – pytano pod koniec pierwszej dekady XXI w. Czy dysponowała mechanizmami i środkami, które pozwalały skutecznie reagować na wypadek niebezpieczeństwa? Mówiąc kolokwialnie i posługując się popularną sentencją Henry’ego Kissingera, czy istniał ów magiczny numer telefonu w Europie, pod który można by zadzwonić, poszukując tam skutecznej reakcji na zagrożenie lub deklaracji szybkiej pomocy. Bo tylko to mogło stanowić o realnej sile Europy na scenie światowej, jej możliwości skutecznego rozwiązywania problemów politycznych.

Pod tym względem zgodzić się trzeba z opiniami, że Unia Europejska mimo osłabienia pozycji Stanów Zjednoczonych nie stanowiła jeszcze alternatywy dla amerykańskiego przywództwa. Oczywiście słabością UE był chociażby brak struktur wojskowych. Z. Brzeziński stawiał sprawę jasno: „Europa polityczna jeszcze nie powstała”. I odnosząc to na grunt stosunków z USA pisał: „Polityczny dialog Ameryki z Europą sprowadza się do dwustronnych stosunków z poszczególnymi państwami, a szczególnie z trzema czołowymi: Wielką Brytanią,

³³ Z. Bauman, *Korzenie amerykańskiego zła*, „Gazeta Wyborcza” 28-29.06.2008.

³⁴ R. Kagan, *Koniec marzeń, powrót historii...*

³⁵ P. Khanna, *Pożegnanie z hegemonią...*; por. R. Kagan, *Koniec marzeń, powrót historii...*

Francją i Niemcami, które same nie potrafią zająć wspólnego stanowiska w sprawach dla Ameryki istotnych”³⁶. W jakimś stopniu był to efekt tego, że administracja Busha, choć w trakcie drugiej kadencji nie stosowała już tak wyraźnie wobec Europy polityki dyferencjacji, jak wtedy, gdy amerykański sekretarz obrony Donald Rumsfeld dzielił ją na „starą” i „nową”, to jednak łatwiej jej było rozmawiać z konkretnymi partnerami europejskimi niż ze zintegrowaną całością. Ale decydował o tym przede wszystkim fakt, że Unia Europejska nadal nie była w stanie sama rozstrzygać konfliktów światowych. Choćby dlatego, że nie posiadając realnych sił militarnych, nie wykazywała woli takiego działania. Innymi słowy, nie stanowiła jeszcze globalnego gracza.

Ale też zbyt silne były inercja i zachowawczość tworu europejskiego. Wynikało to z różnic interesów, postaw, doświadczeń i celów, jakie niosły z sobą poszczególne państwa członkowskie UE. Ich odmienna ocena sytuacji i zróżnicowane oczekiwania od wielu lat uniemożliwiały wypracowanie wspólnej polityki zagranicznej oraz wspólnego stanowiska wobec mnóstwa większych i mniejszych problemów międzynarodowych. Trudno nawet było na początku 2009 r. przesądzić, czy traktat lizboński, czekający dopiero na wprowadzenie, okaże się skutecznym mechanizmem, kształtującym wspólną politykę zagraniczną i bezpieczeństwa. Tej oceny nie zmieniała nawet rola, jaką Unia Europejska odegrała w trakcie kryzysu gruzińskiego, gdy to prezydent Francji, sprawująca przewodnictwo UE, skutecznie mediował w sporze. Z kolei decyzje podjęte 1 września 2008 r., podczas specjalnego szczytu UE, nie oznaczały przyjęcia jakiegosć zdecydowanie ostrego kursu wobec Rosji, na tyle radykalnego, aby zmusić Moskwę do rezygnacji z faktów dokonanych. Powodem był brak zgodności wśród państw członkowskich UE w kwestii skali zastosowanych środków. W efekcie udało się tylko uzyskać konsens co do zawieszenia rozmów z Rosją w sprawie nowej umowy o partnerstwie i współpracy, natomiast nie zdecydowano się na zastosowanie wobec Rosji ani sankcji gospodarczych, ani restrykcji wizowych. Z drugiej strony, trzeba było zadać sobie retoryczne pytanie, czy Unia Europejska – zróżnicowana i nieposiadająca jeszcze wspólnej polityki zagranicznej oraz silniej niż inne regiony świata uzależniona od dostaw rosyjskich surowców energetycznych – mogła pójść na konfrontację z Rosją.

W każdym razie z perspektywy amerykańskiej i w sensie politycznym Unia Europejska pozostała więc tworem nadal dość mgławicowym, targanym wewnętrznymi sprzecznościami, uniemożliwiającymi odegranie roli ważnego i skutecznego aktora na arenie międzynarodowej. Nie oznaczało to, że kondycja i pozycja Unii Europejskiej nie będą miały wpływu na układ transatlantycki, jego funkcjonowanie, a przede wszystkim perspektywy. Pytaniem było raczej to, jaki będzie charakter i skala tego oddziaływania oraz jakie będą tego konsekwencje dla kształtu

³⁶ Z. Brzeziński, *Tarcza tak, ale nie taka...*

wspólnoty euroatlantyckiej, a przede wszystkim dla rangi Stanów Zjednoczonych w świecie.

A zatem u progu kolejnej dekady XXI w. Ameryka stanęła wobec kompleksu niezwykle trudnych i ważnych problemów, zrodzonych na gruncie dynamicznych przekształceń w świecie, których wyrazem była jej słabnąca – zdaniem wielu – pozycja międzynarodowa oraz wylanianie się nowych potęg. Jaką strategię wobec tych wyzwań przyjęły Stany Zjednoczone i czy była to strategia skuteczna? Czy prognozy i oczekiwania formułowane w momencie, gdy G. W. Bush opuszczał Białą Dom, sprawdziły się lub zostały zrealizowane? Jak kształtowała się ranga i pozycja Ameryki po czterech latach obecności Demokratów w Białym Domu?

Rozpoczynając swoje urzędowanie w styczniu 2009 r., Barack Obama musiał się przede wszystkim zmierzyć z zadaniem odbudowy dobrego wizerunku Ameryki i tym samym jej silnej pozycji w świecie, nadwerężonej nie tylko polityką jego poprzednika i kryzysem gospodarczym, ale też pojawieniem się nowych potęg i konkurentów na arenie międzynarodowej. Jedynie Ameryka wzbudzająca zaufanie i podziw, a nie tylko wywołująca strach mogła stanąć do skutecznej rywalizacji na arenie światowej. Niewątpliwie pierwszy czarnoskóry prezydent Stanów Zjednoczonych rozpoczął swoje urzędowanie z ogromnym potencjałem sympatii i nadziei, wyrażanych nie tylko przez Amerykanów, ale także znaczą część międzynarodowej opinii publicznej. Już to dawało mu w punkcie wyjścia atuty, którymi na pewno nie dysponował G. W. Bush, gdy w 2001 r. wprowadzał się do Białego Domu. Wtedy republikański prezydent oceniany był na przykład w Europie przez pryzmat swego konserwatyzmu, manichejskiego podejścia do problemów i dyletantstwa w kwestiach międzynarodowych. Potem ta niechęć do Busha – na skutek jego polityki – tylko się nasiliła, rzutując na stosunek wielu przywódców, polityków i społeczności do Ameryki. Natomiast wobec Obamy, choćby dlatego że nie był Bushem, ale też w oczekiwaniu na zapowiadane zmiany w podejściu do polityki zagranicznej, powszechnie wyrażano przede wszystkim pozytywne emocje.

Dlatego też stosunkowo szybko udało się Obamie przywrócić lepszy wizerunek państwa amerykańskiego w świecie. Zresztą służyły temu pierwsze deklaracje Obamy o powrocie do Wilsonowskiego/pierwotnego rozumienia „posłannictwa dziejowego” Stanów Zjednoczonych. Promowanie przez Amerykę demokratycznych zasad i wartości – stwierdził prezydent – nie może odbywać się za pomocą siły, najlepszą drogą ich upowszechniania będzie przestrzeganie tych zasad we własnym kraju. Powtórzono to w *National Security Strategy*, ogłoszonej w maju 2010 r. Dokument ten oparty był na założeniu, że „amerykańskie przywiązanie do demokracji, praw człowieka i praworządności stanowi podstawę naszej siły i wpływów w świecie”. A zatem „posłannictwo” rozpoczyna się w samych Stanach Zjednoczonych i stąd powinno eskalować w świat. Kładąc silny nacisk na konieczność odbudowy amerykańskiego przywództwa w świecie, gdyż „bezpieczeństwo globalne zależy od silnego i odpowiedzialnego przywództwa

amerykańskiego”, inaczej widziano jego podstawy. Należy – pisano w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego – wzmacniać fundamenty tego przywództwa, głównie na płaszczyźnie wewnętrznej³⁷.

Równie silnie akcentowano w nowej koncepcji strategicznej konieczność szerokiego współdziałania w świecie. W dokumencie czytamy: „Dyplomacja stanowi fundament naszego bezpieczeństwa narodowego i naszych zdolności obronnych”. Uznając ograniczenia dla amerykańskiej dominacji w świecie, z mocą podkreślano, że współpraca musi obejmować zarówno instytucje międzynarodowe, jak i sojuszników w Europie, Azji, Amerykach i na Bliskim Wschodzie. Z kolei pojawienie się nowych biegunów w porządku globalnym wymaga „głębszego i bardziej skutecznego partnerstwa z innymi kluczowymi i wpływowymi centrami, w tym z Chinami, Indiami i Rosją”³⁸. Gdyby szukać myśli przewodniej nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, jakiegoś charakterystycznego dla niej akcentu, to niewątpliwie była nim właśnie szeroka oferta współpracy na arenie międzynarodowej, działań dyplomatycznych i prowadzenia dialogu. Tak Ameryka czasu Obamy zamierzała odnaleźć się w świecie zróżnicowanych potęg.

Tym pierwszym deklaracjom i strategicznym ustaleniom towarzyszyły działania. Zmieniono ton i styl dyplomacji, którą od początku prezydentury Obamy zdominowała wola dialogu, negocjacji i współpracy. Nawet wobec wrogów i przeciwników wystąpiono z ofertą rozmów i negocjacji. Odnosiło się to między innymi do państw nazywanych kiedyś „bandyckimi”, w tym Iranu. Hasło: rozmowy bez warunków wstępnych było na pewno zachęcające nie tylko dla wielu Amerykanów, ale także dla opinii światowej. Pytaniem było, czy okaże się to taktyką skuteczną, rozwiązującą główny problem – zagrożenie irańskim programem nuklearnym. Wszak rozmowy z Teheranem od kilku już lat bez widocznych rezultatów prowadziła europejska „trojka” – Wielka Brytania, Francja i Niemcy. Prezydent Obama pozostał jednak pełen nadziei, że jego oferta wobec Iranu i całego świata muzułmańskiego o możliwości dialogu i porozumiewania się – takie było główne przesłanie pamiętnego przemówienia Obamy w czerwcu 2009 r., podczas jego wizyty w Kairze – zostanie potraktowana poważnie i będzie można ją zrealizować³⁹. Odwołaniem się do atrybutów *soft power* były też zapowiedzi zamknięcia kontrowersyjnego i sprzecznego z zasadami demokracji więzienia w Guantanamo i aktywnego włączenia się do walki ze zmianami klimatycznymi w świecie. Wiele mówiono o wycofaniu w niedalekiej przyszłości amerykańskich wojsk z Iraku (stało się to w grudniu 2011 r.) oraz silniejszym zaangażowaniu na rzecz odbudowy

³⁷ National Security Strategy, May 2010, www.whitehouse.gov/sites/default/files/rss_viewer/national_security_strategy.pdf

³⁸ Tamże.

³⁹ White House, Office of the Press Secretary, „Remarks by the President on a New Beginning”, Cairo University, June 4, 2009, www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-cairo-university-6-04-09.

Afganistanu. Wydawało się, że większy pragmatyzm w działaniu i konsultacja zastępują dotychczasową ideologizację polityki amerykańskiej i autorytatywność w podejmowaniu decyzji.

To, co wydawało się szczególnie odróżniać działania nowej administracji od polityki jego poprzednika, to inne traktowanie terroryzmu. Podczas gdy administracja Busha wojnę z terroryzmem uczyniła absolutnym priorytetem i treścią swej polityki, podporządkowując im styl działania i taktykę, to prezydent Obama, dostrzegając groźbę zbrojnego ekstremizmu, zwłaszcza w wydaniu *Al-Kaidy*, zwracał też uwagę na inne zagrożenia i wyzwania. Przynajmniej równie mocno, jeśli nie bardziej podkreślano wagę niebezpieczeństw związanych z bronią masowego rażenia, jej proliferacją, zagrożenia związane z programami nuklearnymi Iranu i Korei Płn.; wyraźniej dostrzegano konieczność ograniczenia zbrojeń, w tym nawet rozbrojenia nuklearnego⁴⁰.

W każdym razie terroryzm nie utracił rangi dominującej w polityce administracji Obamy, która zdawała się rozumieć, że hasło „wojna z terroryzmem” odnosi się do spraw abstrakcyjnych, nie wskazuje bezpośrednio, gdzie tkwi problem i wróg. Posługiwanie się hasłem „walka z terroryzmem” bez możliwości jasnego zdefiniowania, kto jest wrogiem, nadmiernie zawężyło i upraszczało skomplikowany splot przyczyn i uwarunkowań. A wśród tego kompleksu przyczyn leżało z pewnością negatywne postrzeganie Ameryki w świecie islamu. Stąd owo zwrócenie się do społeczności muzułmańskiej w Kairze z pozytywnym przesłaniem, deklaracją woli pokoju, wsparcia i pomocy. Co więcej, amerykański przywódca – inaczej niż wielu dotychczasowych prezydentów USA – krytykując izraelską politykę osadnictwa, wyraźnie artykułował punkt widzenia Palestyńczyków/muzułmanów, co wywoływało irytację społeczności żydowskiej⁴¹.

Patrząc zatem z tej perspektywy, można powiedzieć, że zlecona przez Białe Dom operacja zabicia Osamy bin Ladena 2 maja 2011 r., kontrowersyjna z moralnego i prawnego punktu widzenia (egzekucja bez próby ujęcia i osądzenia przywódcy *Al-Kaidy*), była złamaniem reguł, które starał się promować prezydent Obama. Nic dziwnego, że wywołało to ostrą reakcję w świecie. W niektórych ocenach Obamę przyrównywano do Busha jr. i oskarżano o łamanie praw człowieka. Był to jeden aspekt sprawy. Z drugiej strony, unicestwiając przywódcę *Al-Kaidy* i realizując – przynajmy – w sposób nie do końca akceptowalny przez świat demokratyczny najważniejszy cel polityki zagranicznej swego poprzednika, prezydent Obama wyeliminował głównego terrorystę świata i czołowego apologetę najbardziej radykalnego ruchu politycznego naszych czasów. Śmierć tego symbolu oznaczała zamknięcie pewnej karty w walce z terroryzmem. *Summa summarum*

⁴⁰ Tamże; zob. też Z. Brzeziński, *From Hope to Audacity*, „Foreign Affairs” January/February 2010, No 1, s. 16 in.

⁴¹ Zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *Bendig History. Barack Obama’s Foreign Policy*, Washington 2012, s. 118-119.

świat uznał, że było to swego rodzaju „unieszkodliwienie w samoobronie” – uzasadnione i zrozumiałe⁴². Podobnie już reagowano na kolejne akty eliminowania radykalnych przywódców, choćby Anwara al-Awlakiego, uchodzącego po śmierci bin Ladena za najbardziej groźnego terrorystę. Jego śmierć w Jemenie 30 września 2011 r. wskutek ataku zdalnie sterowanego „dronera” była przykładem nowego typu działań prowadzonych przez Waszyngton w walce z terroryzmem. Pojawiły się opinie, że w ten sposób amerykański prezydent objawił się ponownie światu jako przywódca silny i zdecydowany, umacniający międzynarodową pozycję i rangę Stanów Zjednoczonych⁴³.

W tym nowym myśleniu o amerykańskiej roli w świecie i charakterze relacji Stanów Zjednoczonych z ich otoczeniem międzynarodowym szczególną rolę zaczęła odgrywać Rosja. Już w lutym 2009 r., podczas międzynarodowej konferencji o bezpieczeństwie w Monachium, ogłoszono nowe otwarcie w stosunkach z Moskwą. „Czas nacisnąć klawisz *reset* i zrewidować wiele obszarów, w którym możemy i powinniśmy współpracować” – oznajmił wówczas wiceprezydent Joseph R. Biden⁴⁴. Bardzo szybko okazało się, że administracja Obamy traktuje „resetowanie” stosunków z Rosją nie tylko jako zgrabne hasło, ale rzeczywisty kierunek amerykańskiej polityki, którego realizacji zamierza poświęcić wiele czasu i wysiłku. Ale czy skutecznie i rozsądnie – zdania są tutaj mocno podzielone.

Trudno zaprzeczyć, że budowa trwałego bezpieczeństwa w Europie, a także podołanie wyzwaniom globalnym i regionalnym – szczególnie w sytuacji dyfuzji nowych potęg – bez współpracy z rosyjskim partnerem, jeśli nie jest niemożliwe, to przynajmniej będzie znacznie trudniejsze. Dlatego też relacje z państwem rosyjskim mogły wpisać się idealnie w nowy styl działań administracji Obamy na arenie międzynarodowej: dialogowania oraz szukania współpracy i porozumienia. Z jednej strony, *reset* w stosunkach z Moskwą doprowadził do podpisania 8 kwietnia 2010 r. nowego dokumentu START, poważnie zmniejszającego limit amerykańskich i rosyjskich głowic jądrowych. Był to akt niezwykle ważny, gdyż właśnie wówczas wygasł traktat START I, pod którym podpisy jeszcze w grudniu 1991 r. złożyli George H. W. Bush senior i Michaił Gorbaczow. Interesy Stanów Zjednoczonych związane z Rosją to także możliwość dalszego wykorzystania rosyjskiej (poradzieckiej) przestrzeni powietrznej i lądowej do transportu dostaw przeznaczonych dla zachodnich sił sojuszniczych w Afganistanie. Ta pomoc logistyczna była niemal *sine qua non* powodzenia misji NATO/Amyrkanów pod Hindukuszem. Do agendy spraw, znacznie trudniejszych do rozwiązania bez udziału Rosji, zaliczyć należało również kwestię zablokowania irańskiego programu nuklearnego i konflikt bliskowschodni. Z czasem doszedł jeszcze problem Syrii. Choćby dla tych celów warto więc było się z Moskwą układać.

⁴² Zob. wywiad z W. Osiatyńskim, *Ben Laden musiał zginąć*, „Gazeta Wyborcza” 7-8.05.2011.

⁴³ M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *op. cit.*, s. 70-72.

⁴⁴ J. R. Biden, Speech at the 45th Munich Conference, 7 II 2009, www.securityconference.de/konferenzen/rede.php?menu_2009=&menu_konfer

Z drugiej wszak strony, ta sama polityka „resetowania” stosunków z Rosją miała swoją cenę, którą administracja Obamy płaciła. Dotkliwie odczuła to Polska. Fakt rezygnacji we wrześniu 2009 r. z tej formuły tarczy antyrakietowej, którą swego czasu forsowała administracja Busha, a której elementy miały być instalowane na terytorium Polski i Czech, były między innymi efektem dowartościowania roli i znaczenia czynnika rosyjskiego w aktualnym myśleniu Waszyngtonu o bezpieczeństwie i polityce zagranicznej. Wiedząc, że rozmieszczenie amerykańskich instalacji antyrakietowych w krajach tzw. bliskiej zagranicy wywołuje irytację i ostry sprzeciw Moskwy, administracja Obamy zdecydowała się odstąpić od decyzji swego poprzednika. Wprawdzie nie była to całkowita rezygnacja z budowy systemu obrony antyrakietowej, raczej jego zmiana, trudno też było nie dostrzec względów technicznych, wpływających na decyzję Amerykanów (proponowany program wydawał się nie tylko tańszy, ale – jak zapewniano – sprawniejszy technologicznie i dlatego w większym stopniu gwarantujący bezpieczeństwo Stanom Zjednoczonym oraz jego sojusznikom), to jednak opinie komentatorów były dość jednoznaczne – jest to zdecydowanie przyjazny gest wobec Moskwy. Bo przecież, co mogło bardziej ucieszyć Rosję niż świadomość, że w Polsce, pod jej boki, nie będzie bazy amerykańskich pocisków, a w Czechach radaru, zdolnego monitorować także rosyjską przestrzeń.

Był jeszcze jeden aspekt decyzji administracji Obamy o realizacji nowego systemu obronnego. Oznaczała ona dla Rosji nie tylko odrzucenie tego, czego jej przywódcy nie akceptowali, ale też otwarcie dla niej perspektywy włączenia się do nowego projektu, czyli pełnego uznania jej aspiracji odgrywania znaczącej roli w świecie zróżnicowanych potęg. Warto przy okazji zauważyć, że w ten sposób administracja Obamy nawiązywała do wysiłków prezydenta Clintona, który na początku lat 90. próbował uczynić z Rosji swego „strategicznego partnera”⁴⁵. Wówczas to się nie udało, choćby dlatego, że Jelcynowska Rosja była słaba, ogarnięta chaosem i nieprzewidywalna, a Ameryka w końcu i tak dominowała w świecie. Teraz ten cel strategiczny, biorąc pod uwagę mocniejszą pozycję Putinowskiej Rosji oraz ograniczenia amerykańskiej potęgi, zmuszonej działać w kooperacji i w silniejszej konkurencji, wydawał się bliższy realizacji.

Warto w tym miejscu zadać pytanie, jakie wobec tego miejsce w strategii administracji Obamy zajęła Europa – dotąd najważniejszy sojusznik i partner Ameryki, ale też jej rosnący konkurent gospodarczy – przynajmniej tak zdawało się w odniesieniu do Unii Europejskiej pod koniec urzędowania Busha. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że poprawa relacji z Europą, odbudowa znaczenia układu transatlantyckiego, przywrócenia mu spójności i skuteczności mogły być ważnym czynnikiem umocnienia roli i rangi Ameryki w świecie, zmierzającym ku wielobiegunowości. Było to zadanie równie ważne co trudne, zważywszy chociażby stan

⁴⁵ Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Gra o Europę. Bezpieczeństwo europejskie w polityce Stanów Zjednoczonych pod koniec XX wieku*, Poznań 2000, s. 255-277.

relacji transatlantyckich, jaki po „erze Busha” przejął prezydent Obama. Nadwężone wzajemne zaufanie, rosnące poczucie autonomii Europy, ale też podejmowane przez administrację Busha próby jej polaryzacji – to tylko niektóre z czynników, które osłabiły sojusz Ameryki i Europy.

Nie ma wątpliwości, że kluczowe znaczenie dla odbudowy silnych więzi sojuszniczych miało przywrócenie dobrej atmosfery we wzajemnych relacjach. Służyła temu owa zmiana stylu uprawiania polityki w Waszyngtonie, gdzie znowu przywiązywano wagę do działań dyplomatycznych, zademonstrowano wolę współpracy i wysłuchiwanie racji partnerów. Ameryka starała się odbudować swoją *soft power*, niekwestionowany atrybut jej prestiżu i znaczenia, wysoko ceniony w Europie. Jednak to wszystko nie rozwiązywało problemu. Układ transatlantycki wymagał wypełnienia go bogatszą treścią, nadania mu nowego impulsu. Europa oczekiwała, że prezydent Obama doceni znaczenie i wagę sojuszu ze Starym Światem, tym samym przywróci państwom europejskim należną im rangę w polityce amerykańskiej. Nie chodziło więc jedynie o przyjazne gesty, nawet nie tylko o więcej konsultacji, ale przede wszystkim o więcej zaangażowania i czasu poświęcanych sprawom europejskim. Z kolei administracja Obamy liczyła na skuteczniejsze włączenie się Europejczyków w rozwiązywanie problemów i przewyciężanie wyzwań.

Bilans sporządzony pod koniec pierwszej kadencji Obamy nie był jednak pozytywny. Nie udało się wzmocnić układu transatlantyckiego przez nadanie mu przekonującego sensu istnienia, a także uruchomienie wyrazistego impulsu. Administracja Obamy wystąpiła z propozycjami i sugestiami, które nie spotkały się z odpowiednią, a przynajmniej oczekiwaną przez Amerykanów reakcją strony europejskiej. Z kolei wiele państw europejskich rozczarowały niektóre gesty i działania Waszyngtonu. Wizyty prezydenta Obamy na kontynencie europejskim ograniczone były do niezbędnego minimum, a i tak z tej stosunkowo krótkiej listy usuwano niektóre ważne spotkania, jak choćby w ramach szczytu Unia Europejska – Stany Zjednoczone w maju 2010 r. Z jednej strony mieliśmy więc do czynienia z poczuciem marginalizacji Europy w globalnej polityce Waszyngtonu, z drugiej – utrzymującą się asertywnością i biernością Europy w odniesieniu do wielu wyzwań i problemów. Skutkiem tego powstało wrażenie o dalszym wzajemnym oddalaniu się Europy (Unii Europejskiej) i Stanów Zjednoczonych.

Dla Waszyngtonu czasu Obamy kontynent europejski przestał być regionem o pierwszorzędym znaczeniu⁴⁶. W jakiejś mierze wynikało to ze słabnących więzi emocjonalnych między politykami amerykańskimi a przywódcami europejskimi.

⁴⁶ Wielce wymownym w tym kontekście jest fakt, że w najnowszym amerykańskim opracowaniu, bilansującym politykę zagraniczną administracji Obamy (M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *Bendig History...*), autorzy nie uznali za stosowne choćby jednego rozdziału poświęcić stosunkom z Europą, natomiast już pierwszy rozdział nosi tytuł: *Emerging Power: China*, s. 24-69. Pośrednio dowodzi to skali zainteresowania Europą ze strony administracji Obamy.

Choćby pochodzenie czarnoskórego prezydenta USA – ojciec z Afryki, dzieciństwo spędzone z dala od kontynentu amerykańskiego, bo w Azji i na Hawajach – automatycznie narzucało słabszą niż było dotąd więź emocjonalną z Europą. Zatem o bliskich związkach ze Starym Światem decydować miały teraz bardziej względy pragmatyczne niż – jak to było przez ostatnie ponad pół wieku – związki historyczne, emocjonalne lub kulturowe.

Mniejsze zainteresowanie Europą wynikało też z prostego faktu, że przestała być ona przedmiotem szczególnych obaw amerykańskich o jej bezpieczeństwo, stabilizację i postępy w demokracji, jak działo się w czasach zimnej wojny i w pierwszym okresie po niej. Prezydent Obama dostrzegał Europę przede wszystkim w kontekście i w zestawieniu z innymi celami, stanowiącymi rzeczywiste wyzwanie dla amerykańskich interesów i priorytetów. Myśl tę rozwijał R. Kagan pisząc, że „Obama jest pierwszym naprawdę pozimnowojennym prezydentem USA. Nie łączy wielkich emocji z Europą. (...) Jako człowiek sterujący supermocarstwem, które ma wiele kłopotów, zastanawia się przede wszystkim nad tym, co Europa może zrobić dla niego. A jej znaczenie strategiczne maleje z roku na rok – na jej własną prośbę, z powodu tego, co Europa robi i nie robi”⁴⁷.

Administracja Obamy oczekiwała więc, że relacje transatlantyckie nie będą tylko wspólnotą wartości i zasad, sprowadzającą się do problemu bezpieczeństwa, czyli *de facto* NATO, ale zyskają bardziej praktyczny charakter. Ameryka chciała Europy, na którą będzie można liczyć przy rozwiązywaniu różnych problemów i która będzie angażować się na miarę swych możliwości w różnych częściach świata, najczęściej odległych od teatru europejskiego. „Chcemy mieć silnych sojuszników. Nie chcemy być patronami Europy. Oczekujemy, że będziemy partnerami Europy” – mówił Obama podczas swej pierwszej jako prezydenta podróży europejskiej w kwietniu 2009 r.⁴⁸ Wobec różnych wyzwań, takich jak problemy globalnej gospodarki, terroryzm, groźba proliferacji broni jądrowej, konflikt bliskowschodni celem administracji Obamy była współpraca z każdym, kto okazałby skuteczną pomoc przy rozwiązaniu tych problemów. W tym Waszyngton widział szczególną rolę sojuszników europejskich.

Tymczasem państwa europejskie, choć zintegrowane w Unii Europejskiej, posiadającej już swego rodzaju ministra spraw zagranicznych, nie zdołały zaprezentować się jeszcze jako skuteczny, aktywny gracz na arenie międzynarodowej. Nie przejęły roli potęgi, którą potencjalnie Unia Europejska przecież jest. Nie chodziło tylko o to, że państwa europejskie, choć konsekwentnie krytykowały przetrzymywanie bez wyroków podejrzewanych o terroryzm w Guantanamo, to odmawiały przyjęcia uwolnionych więźniów na swoje terytorium. Ale odnieść to można było chociażby do konfliktu bliskowschodniego, gdzie

⁴⁷ Rozmowa z R. Kaganem pt. *Obama – cudu nie było*, „Gazeta Wyborcza” 16-17.01.2010.

⁴⁸ Cyt. w: M. E. O’Hanlon, *Obama’s Solid First Year on Foreign Policy*, WWW.brookings.edu/opinions/2010/0101_obama_foreign_policy_ohanlon.aspx...

zabrakło rzeczywistej determinacji, aby zaangażować się dyplomatycznie na miarę możliwości Europy w realizację procesu pokojowego. Europa, oczekując na działania Waszyngtonu – w praktyce ograniczała swą rolę do pomocy finansowej dla strony palestyńskiej (około 1 mld euro rocznie). Podobnie słabo dostrzegalna była rola Unii Europejskiej przy rozwiązywaniu groźnego i nadal nieprzewidywanego dylematu ambicji nuklearnych Iranu. A przecież swego czasu państwa „trojki” jawiły się jako ważny czynnik w rozmowach z reżimem ajatollahów.

To, że Europa nie sprawdziła się w ostatnim czasie jako strategiczny aktor, na którego liczyły Stany Zjednoczone, pomijając cały kompleks jej problemów związanych z kryzysem gospodarczym, wynikało też z braku gotowości państw europejskich do podejmowania większych zobowiązań i większej odpowiedzialności za bieg spraw w świecie. Wymagało to bowiem często pokonania narodowego egoizmu, większego poświęcenia, zademonstrowania woli partnerskiego współdziałania z Ameryką. Warto dodać, że na polu polityki zagranicznej, a także obronnej państwa członkowskie UE zachowały silne poczucie narodowej niezależności. Trudno było zatem forsować jeden europejski punkt widzenia. Nawet angażując się w działania *NATO* w Afganistanie państwa europejskie czyniły to jako indywidualni sojusznicy, silnie uzależnieni od narodowych uwarunkowań i ograniczeń.

Zresztą Afganistan stał się – w amerykańskiej ocenie – doskonałym potwierdzeniem braku woli zdecydowanego zaangażowania się Europy i wspierania wysiłków Stanów Zjednoczonych. Obnażył też słabe punkty Sojuszu Północnoatlantyckiego – braku determinacji i poczucia współodpowiedzialności niektórych jego członków. A przecież w sensie formalnym była to misja prowadzona pod flagą *NATO*. Tymczasem różne niedostatki materiałowe, ludzkie i operacyjne akcji w Afganistanie musieli niwelować Amerykanie (prezydent Obama był zmuszony zwiększyć kontyngent wojsk amerykańskich z 38 tys. na początku 2009 r. do 90 tys. w połowie 2012 r.), co na pewno nie poprawiało notowań sojuszników europejskich w Waszyngtonie. Wprawdzie przywódcy z Europy przy różnych okazjach deklarowali, że powodzenie misji afgańskiej jest czynnikiem ich narodowego bezpieczeństwa, ale w praktyce traktowano ją jako niemalże wyłączną odpowiedzialność Stanów Zjednoczonych. Zwłaszcza że operacja *NATO* w Afganistanie cieszyła się nikłym poparciem europejskiej opinii publicznej.

W tym kontekście można było mieć nadzieję, że takim wydarzeniem, które nada relacjom transatlantyckim nowej dynamiki, a przynajmniej potwierdzi wartość i znaczenie tego układu politycznego – i to nie tylko dla jego członków, ale również dla bliższego i dalszego sąsiedztwa – będzie „arabska wiosna” 2011 r. z jej najbardziej krwawą odłogą – operacją wojskową Paktu Północnoatlantyckiego w Libii. Z różnych względów ta akcja militarna *NATO* była bez precedensu. W przeciwieństwie do większości dotychczasowych interwencji zbrojnych Sojuszu, została ona podjęta z inicjatywy nie Stanów Zjednoczonych, ale kilku państw europejskich, w tym głównie Francji. A Waszyngton został do tej akcji niejako

przymuszony. To także Paryż, wspierany przez Londyn, wymusił na Radzie Bezpieczeństwa przyjęcie rezolucji sankcjonującej *de facto* interwencję militarną. Wreszcie, choć w początkowym okresie operacji w Libii przewodziły jej Stany Zjednoczone, to pod koniec marca 2011 r. dowództwo akcji przejęło NATO, a USA stały się zaledwie członkiem tej koalicji. Była to więc pierwsza operacja bojowa NATO, w której Ameryka działała raczej „z drugiego rzędu”⁴⁹. Ale na tym precedensy się kończą. Bowiem w rzeczywistości, wobec długotrwałości operacji libijskiej (trwała do września 2011 r.), nadwerżenia zasobów militarnych państw europejskich, w niej uczestniczących oraz ich słabnącej woli kontynuowania działań zbrojnych, Ameryka musiała przejąć inicjatywę, zwiększyć swój udział militarny i znowu odegrać rolę pierwszorzędną, przyczyniając się bezpośrednio do usunięcia i śmierci płk. Muammara Kaddafiego. Był to niewątpliwie efekt trwającego już od lat procesu obniżania przez europejskich sojuszników nakładów na obronność, czyli w praktyce ich zmniejszającego się potencjału zbrojnego.

Były jeszcze inne – źle oceniane z perspektywy Waszyngtonu – aspekty operacji libijskiej. Po pierwsze, nie była to akcja solidarna, bowiem kilka ważnych państw, w tym Polska i Niemcy odmówiły w niej udziału. Po drugie, można było mieć zastrzeżenia co do funkcjonowania wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa Unii Europejskiej. Choć wydawało się, że traktat lizboński wyposaży unijną dyplomację w narzędzia, które będzie można wykorzystać w takich przypadkach jak Libia, a wcześniej rewolta w arabskich krajach Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu, aby zintegrować państwa członkowskie wokół ważnego zadania z zakresu polityki zagranicznej, to jednak tych testów UE nie przeszła pomyślnie. To nie przewodząca europejskiej dyplomacji Catherine Ashton koordynowała działaniami, ale inspirowały je dwie stolice europejskie – Paryż i Londyn. W Europie mieliśmy więc nadal dominację polityki narodowej, a nie unijnej dyplomacji. Mówiąc kolokwialnie, brakowało nadal owego jednego europejskiego numeru telefonu, pod który Amerykanie mogliby zadzwonić w sytuacji alarmowej.

Nie pomniejszając znaczenia wszystkich tych czynników, nie ulega kwestii, że obniżenie rangi Europy w polityce amerykańskiej było jednak przede wszystkim konsekwencją funkcjonowania Stanów Zjednoczonych w świecie nowych, konkurencyjnych wobec Ameryki potęg, silnie zagrażających jej interesom. Podczas gdy Unia Europejska, ogarnięta kryzysem gospodarczym i finansowym, stojąca przed realną już perspektywą jej rozpadu, przestała być w ostatnim czasie „natchnieniem świata”, to inne siły stały się rzeczywistym konkurentem dla Stanów Zjednoczonych. Takim wyzwaniem dla amerykańskiej zarówno gospodarki, jak i polityki są niewątpliwie Chiny, konsekwentnie i dynamicznie rozwijające się przez ostatnie lata. Wystarczy przytoczyć kilka danych: Stany Zjednoczone są zadłużone w Chinach na sumę przeszło 1,5 bln dol., zaś według prognoz już w 2020 r. Chiny, z blisko 10-proc. wzrostem gospodarczym znajdą się przed USA pod względem

⁴⁹ Zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *op. cit.*, s. 158.

PKB (Indie przed Niemcami, a Rosja przed Wielką Brytanią i Francją). W 2030 r. PKB Chin ma być większy niż łączne PKB USA i Japonii (a PKB Indii większy niż łączny produkt Niemiec, Wielkiej, Brytanii i Francji)⁵⁰.

Ten rosnący potencjał gospodarczy coraz wyraźniej przekładał się na zasoby i zdolności militarne tych nowych potęg i ich rangę polityczną. Podczas gdy jeszcze cztery lata temu mówiło się, że ambicje Chin ograniczają się głównie do sfery ekonomicznej, to u kresu pierwszej kadencji Obamy nie milkły głosy dowodzące, że rosnący potencjał gospodarczy Chin Ludowych zaowocował wzrostem ich aspiracji politycznych w regionie azjatyckim. Pekin okazał się coraz bardziej ofensywny w stosunku do swych sąsiadów, choćby Filipin i Wietnamu, o Tajwanie nie wspominając, budząc zaniepokojenie sąsiednich państw, w tym Japonii, a nawet Australii. Jeśli do tego dodać możliwości Chin wpływania na polityków Korei Płn., straszących świat swym programem nuklearnym, to nie dziwi fakt, że uwaga administracji Obamy skoncentrowała się właśnie na regionie Pacyfiku/Azji. Mówi się wręcz o amerykańskim „zwrocie ku Wybrzeżu Pacyfiku” (*pivot to the Pacific Rim*)⁵¹. Stąd opinia: „Obama nie tyle jest pierwszym czarnym prezydentem USA, ile pierwszym azjatyckim”⁵².

Ogłoszenie nowej strategii Ameryki nastąpiło w listopadzie 2011 r. podczas podróży prezydenta Obamy po krajach regionu Pacyfiku. „Priorytetem USA w polityce zagranicznej stanie się region Azji i Pacyfiku” – zadeklarował Obama przed australijskim parlamentem. Podkreślał, że Stany Zjednoczone jako mocarstwo Pacyfiku powinny przyczynić się do kształtowania przyszłości tego regionu. Dlatego obecność USA w rejonie Azji i Pacyfiku miała uzyskać najwyższy priorytet w amerykańskiej polityce zagranicznej⁵³. Potwierdzeniem tego było podpisanie z premierem Australii porozumienia o wzmocnieniu amerykańskiej obecności wojskowej na antypodach. W tym samym czasie, gdy administracja Obamy ogłosiła plan drastycznych cięć w wydatkach na obronę (500 mld dol. w ciągu najbliższej dekady) oraz redukcję amerykańskiej obecności wojskowej w Europie, to zapowiedziała rozlokowanie w północnej Australii kontyngentu amerykańskich żołnierzy (początkowo 2,5 tys. żołnierzy). Nie zamierzano też zmniejszać baz Stanów Zjednoczonych w Japonii (40 tys. żołnierzy) i Korei Płd. (28,5 tys. żołnierzy). W planach było dostarczenie pomocy zbrojeniowej dla Singapuru i Filipin.

⁵⁰ Cyt. za: Z. Brzeziński, *Strategic Vision. America and the Crisis of Global Power*, New York 2012, s. 65.

⁵¹ Po raz pierwszy określenia tego użyło biuro prasowe Białego Domu, zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *op. cit.*, s. 56-59.

⁵² Emilio Lamo de Espinosa (prezes *Real Instituto Elcano* w Madrycie) w rozmowie z M. Stasińskim, *Nie pozwólmy umrzeć Europie*, „Gazeta Wyborcza” 4-5.08.2012.

⁵³ White House, Office of the Press Secretary, Remarks by President Obama to the Australian Parliament, November 17, 2011, www.whitehouse.gov/the-press-office/2011/11/17/remarks-president-obama-australian-parliament.

Ten amerykański „zwrot ku Pacyfikowi” – mimo że spodziewany, gdy wziąć pod uwagę obserwowane od dłuższego czasu zmiany w porządku międzynarodowym, spowodowane pojawieniem się nowych potęg – to jednak wywołał żywą reakcję w świecie. Z jednej strony były to głosy krytyczne wobec takiego przewartościowania priorytetów amerykańskiej polityki zagranicznej – rozczarowanie i niezadowolenie pojawiło się zwłaszcza w stolicach sojuszników europejskich. Ale też w samej Ameryce dowodzono, że Europa mimo wszystko nadal pozostaje najważniejszym zobowiązaniem Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa, a układ transatlantycki czynnikiem rangi i znaczenia obu jego członków. Podawano natomiast w wątpliwość realne możliwości Chin przekształcenia potencjału gospodarczego w rangę polityczną oraz chińskie aspiracje i prawdopodobieństwo odgrywania dominującej roli w regionie⁵⁴. Mielśmy też do czynienia z opiniami, że to na przykład „arabska wiosna” stwarza dziś największą szansę dla strategii Stanów Zjednoczonych – perspektywę realizacji amerykańskiego „posłannictwa” i zbudowania na zupełnie nowych zasadach relacji Ameryki ze światem muzułmańskim. W przeciwnym razie, pozbawiony amerykańskiego zainteresowania i zaangażowania ten region świata zdominowany zostanie przez fundamentalizm islamski.

Z drugiej jednak strony, utrzymywało się silne przekonanie, że największym wyzwaniem dla polityki Waszyngtonu będzie rejon Azji, z dwoma rosnącymi w potęgę państwami: Chinami oraz Indiami, z przesuwającym się centrum gospodarczym z Zachodu na Wschód, nasilającym się procesem – jak to nazywa Brzeziński – „rozbudzenia politycznego” w świecie⁵⁵. Przewidywano, że już wkrótce dynamikę współczesnego świata będą kształtować pełne napięcie, ale i wzajemnego uzależnienia stosunki Stanów Zjednoczonych z Chinami, które brytyjski historyk Niall Ferguson nazwał „Chimeryką”. Prognozowano skuteczną ekspansję Chin, przywołując – zdawało się zarezerwowane dla Ameryki – pojęcie *soft power*. To chińskie inwestycje zagraniczne, stanowiące element jej „miękkiej siły”, są używane przez Pekin dla wzmocnienia swej pozycji w świecie. Ta pomoc okazuje się szczególnie atrakcyjna dla państw biednych i słabych, gdyż nie wymaga ona demokratyzacji, rozliczania się z subwencji ani nawet rozsądnej polityki gospodarczej, jak czynią to zdominowane przez USA instytucje międzynarodowe, takie jak Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Do tego wszystkiego Ameryka musi się przygotować, zmieniając priorytety swej polityki i dokonując „zwrotu ku Pacyfikowi”. Dlatego powinna wzmocnić swe zobowiązania polityczne i wojskowe w tym regionie świata, odświeżyć istniejące sojusze (*APEC*, *ASEAN*), sfinalizować nowe porozumienia (oprócz ratyfikowanego już *U.S.–Korea Free Trade Agreement*, także *Trans-Pacific Partnership – TPP*).

⁵⁴ R. Kagan, *Not Fade Away: Against the Myth of Americana Decline*, „The New Republic” 17.01.2012.

⁵⁵ Z. Brzeziński, *Strategic Vision...*, s. 26-36.

Uznawano, że moment ku temu jest optymalny, gdyż aspiracje Pekinu budzą coraz większe zaniepokojenie, a to że Chiny są głównym i najważniejszym partnerem handlowych w tym regionie, wcale nie musi skutkować pożądanym ich jako strategicznego sojusznika – twierdzono⁵⁶. W takiej sytuacji Ameryka, ze swoim doświadczeniem i nadal pokaznym potencjałem, jawi się jako przeciwwaga dla Chin Ludowych i gwarant bezpieczeństwa wielu państw regionu Pacyfiku⁵⁷.

Jeśli z toczącej się dyskusji o amerykańskiej strategii wobec świata zmierzającego ku wielobiegunowości można wysnuć jakąś wspólną konkluzję, to jest nią teza o konieczności utrzymania – mimo wszystko – amerykańskiego przywództwa⁵⁸. „Gdyby Ameryka pogrążyła się w głębokim kryzysie, który by ją na długi czas sparaliżował na scenie międzynarodowej, konsekwencje byłyby wyjątkowo niekorzystne” – dowodził Z. Brzeziński, przekonany, że nikt nie jest w stanie zastąpić Stanów Zjednoczonych w tej roli⁵⁹. Podobny pogląd głosił R. Kagan, który w swym kolejnym bestsellerze „The World America Made” stawiał nieśmiertelne pytanie: *If American power were to decline, what would that mean for the international order?*⁶⁰.

Obawy o geopolityczne konsekwencje rezygnacji Stanów Zjednoczonych z roli globalnego lidera lub skutecznych działań osłabiających pozycję Ameryki w świecie wydają się powszechne – „Stany Zjednoczone, niezależnie od błędów własnej polityki, są ostatecznym źródłem globalnej stabilności” – twierdził Brzeziński⁶¹. Ta teza została powtórzona z całą mocą w najnowszej pracy tego wybitnego znawcy współczesnego świata – *Strategic Vision*. Brzeziński przyznaje, że dzisiejszy świat, w którym funkcjonuje wiele nowych potęg, znacznie trudniej poddaje się dominacji jednego mocarstwa, nawet tak potężnego jak Stany Zjednoczone, to jednak w tym świecie Ameryka ma do odegrania ważną rolę jako *promoter and guarantor of a revitalized West and as the balancer and conciliator of a rising New East*⁶².

Wciąż bowiem USA są numerem 1 w światowej gospodarce i jedynym supermocarstwem zdolnym prowadzić wojny w każdym – nawet odległym od własnego terytorium – regionie świata. Ich wycofanie się oznaczałoby zatem chaos, powrót do rywalizacji mniejszych i większych potęg, ożywienie zadawnionych

⁵⁶ Zob. *The Rise or Fall of the American Empire*, by D. W. Drezner, G. Rachman, R. Kagan, www.foreignpolicy.com/articles/2012/02/14/the_rise_or_fall_of_the_american...

⁵⁷ R. Kagan, *The World America Made*, New York 2012, s. ; także Z. Brzeziński, *Strategic Vision...*, s. 184 i n.

⁵⁸ B. Jones, Th. Wright, J. Esberg, *Reviving Americana Leadership: The Next President Should Continue on the Path Obama Has Set*, www.brookings.edu/research/papers/2012/05/25-america-role-jones-wright

⁵⁹ Z. Brzeziński w rozmowie z A. Lubowskim, *Szach królowej*, „Gazeta Wyborcza” 5-6.11.2011.

⁶⁰ R. Kagan, *The World...*, s. 68; zob. tegoż, *Why the World Needs America*, „Wall Street Journal” 11.02.2012.

⁶¹ Z. Brzeziński, *Szach królowej...*

⁶² Tenże, *Strategic Vision...*, s. 192.

konfliktów, być może nawet koniec dominacji gospodarki wolnorynkowej – takie perspektywy zdaniem wielu analityków i ekspertów czekałyby świat pozbawiony amerykańskiego przywództwa. Nawet jeśli założyć, że pojawi się mocarstwo zdolne przejąć rolę Stanów Zjednoczonych, to jest to przyszłość niepewna, bo nieznaną. Podobnie może być, gdyby scenariusz przyszłości oznaczał porządek multipolarny. Historia bowiem dowiodła, że tego rodzaju systemy międzynarodowe ani nie są stabilne, ani wolne od wojen i konfliktów, rywalizacji i sporów. Parafrazując zatem słowa Churchilla, można powiedzieć, że z pewnością przywództwo Stanów Zjednoczonych nie jest idealne, jednak lepszego nie ma.

Nie zmienia to jednak zasadniczego problemu – pytania o losy potęgi amerykańskiej i charakter jej przywództwa. Jednego można być pewnym – jeśli Ameryka pozostanie liderem, to będzie przewodzić w znacznie trudniejszych warunkach niż było to jeszcze dekadę wcześniej. Utrzyma z pewnością większy od innych margines swobody działań, jednak będzie to funkcjonowanie na tle lub w konkurencji do innych sił i potęg, mocniejszych niż wcześniej. Tym bardziej Stany Zjednoczone potrzebują wsparcia i sojuszników. W ten sposób powracamy do zasadniczej przesłania tego eseju – czy rzeczywiście Europa i europejscy sojusznicy przestali stanowić priorytet w amerykańskich kalkulacjach politycznych, przestali się liczyć jako najważniejszy partner strategiczny. Czy amerykański *pivot* ku Pacyfikowi to przesądzony już efekt pojawienia się nowych potęg w świecie i przesuwania jego punktu ciężkości ku Azji? Czy naprawdę jesteśmy świadkami zasadniczego przewartościowania priorytetów amerykańskiej polityki? Wiele wskazuje, że tak – wymuszają to nowe uwarunkowania, w jakich funkcjonują obecnie Stany Zjednoczone – świat zróżnicowanych potęg. Jednak pełną odpowiedź na te pytania przyniesie dopiero najbliższa przyszłość.

ABSTRACT

The article attempts to show the role of the United States in today's world of diversified powers. Although the USA still have an enormous potential at their disposal and can still exert stronger influence on the international situation than other powers, they experience growing competition in various areas. This markedly affects the direction and character of American strategy which seems to be reversing its Pacific orientation. The consequences of this tendency are particularly visible in transatlantic relations.